

Opowiadanie

ZNAK ZAPYTANIA

Było to na wiosnę kilka lat temu, kiedy to wprowadziłem się do mojego nowego mieszkania (ściślej malutkiej garsoniery) i zaczynałem kolejny etap mojego dorosłego życia. Mieszkałem sam. Podobne do siebie dni wypełniała mi przede wszystkim praca, często po godzinach, przeplatana nielicznymi kontaktami towarzyskimi. Gdy przychodziłem późno wieczorem do domu, miałem jedynie czas i siłę na zrobienie sobie kolacji, umycie się i pójście spać. Na weekendy zazwyczaj wyjeżdżałem gdzieś za miasto.

I właśnie kiedy wracałem z jednego z takich wyjazdowych weekendów, przy wchodzeniu do mieszkania poczułem czyjąś dziwną obecność. Nie odczucie, że ktoś tutaj był, ale że ktoś tutaj cały czas jest. Oczywiście zaraz sprawdziłem wszystkie pomieszczenia (przy metrażu 23,3 m² nie było to szczególnie trudne) i wykluczyłem istnienie jakiegokolwiek niezapraszanego gościa, a przynajmniej jego istnienie w ludzkiej postaci. Niemniej moje dziwne odczucie nie zanikało, a co gorsza, w kolejnych dniach i tygodniach nasilało się. Nie bezpodstawnie zresztą. Od czasu do czasu w moim mieszkaniu dawało się słyszeć jakieś cichutkie chroboty, chrząkania, sapania. Przeglądałem wszystkie zakamarki, wyciągałem z szaf każdą, nawet najmniejszą, rzecz i... niczego lub nikogo obcego nie udawało mi się znaleźć. W zasadzie można by nawet przejść do porządku dziennego nad tą dziwną, ale w sumie mało szkodliwą obecnością, gdyby nie to, że odgłosy zaczęły się po pewnym czasie pojawiać nawet w nocy, czasami wybudzając mnie ze snu.

Dni jednak mijały w swoim dość szybkim tempie, a ja po prostu starałem się zaakceptować tą moją nową lokalową sytuację, tłumacząc sobie wszystko moim przemęczeniem i stresem w pracy. Może to wszystko jakieś urojenia, może przydałby się wreszcie jakiś porządny długi urlop, może wreszcie po prostu trzeba przestać zwracać na to uwagę? Tak, przestałem się tym przejmować i w pewien sposób zacząłem nawet udawać, że problem nie istnieje (to było coś w czym miałem sporą praktykę i całkiem nieźle mi to wychodziło). Gdy leżałem na łóżku i słyszałem w szafce kuchennej dziwne pokasywania, nie wstawałem i nie przetrząsałem gorączkowo wszystkich talerzy i garnków (między innymi nauczony doświadczeniem, że taka czynność trwa sporo czasu i do niczego nie prowadzi). Gdy byłem w łazience i dochodziły do mnie wyraźne odgłosy przebiegania malutkimi kroczkami po okleinowanych naturalnym drewnem panelach w pokoju, nie wybiegałem mokry i nie zaglądałem pod szafy i stół (bo przecież to równie dobrze mogły być odgłosy sąsiadki z mieszkania obok).

Paradoksalnie jednak moja postawa braku uwagi dodała odwagi temu czemuś. To coś stawało się coraz bardziej śmielsze. Zaczęło dochodzić do sytuacji śmiesznych. Gdy na przykład jedząc kolację odwracałem się nagle od stołu, widziałem jakieś maluteńkie czarne stworzenie w pośpiechu chowające się pod łóżko. Gdy udawało mi się bardzo cicho i w niespodziewanych porach wejść do mieszkania, zastawałem powyciągane z lodówki rzeczy (których jak się domyślałem to coś nie zdążyło schować, zaskoczone moim nagłym powrotem). To już nie tylko mieszkało ze mną czy towarzyszyło mi miesiącami, ale żywiło się moim jedzeniem!

W sprawie tego czegoś, oczywiście nie było dokładnie tak jak można by wywnioskować z mojego opowiadania, że na początku gorączkowo szukałem odpowiedzi, a później tylko ignorowałem samo pytanie (przekaz słowny w odróżnieniu od bezpośredniego doświadczenia zawsze zawiera w sobie jakiś skrót). Raczej można by powiedzieć, że były to kolejno powracające fazy: poszukiwania połączonego z nadzieją znalezienia rozwiązania, wytężonego tropienia, chwytania się wszelkich możliwych poszlak, a potem rozczarowania związanego z brakiem jakichkolwiek dowodów, zmęczenia, zniechęcenia, bezradnego porzucania problemu, czy wreszcie pełnego rozgoryczenia z powodu straconego czasu na coś tak w sumie nieważnego czy wręcz może nieistniejącego?

A jednak. Pewnej nocy zbudzony nagłą potrzebą wstałem do łazienki, zapaliłem światło i kątem oka w wąskiej szparze między ścianą a szafą na podłodze dostrzegłem to. To coś spało (prawdopodobnie mocno zmęczone harcami odprawianymi zeszłej nocy). Poszedłem bliżej, najciszej jak potrafiłem i zobaczyłem nieduży (długości może piętnastu centymetrów), czarny... znak zapytania. Oddychał miarowo i spokojnie, co pewien czas wydymając swój okrągły brzuszek lub coś, co brzuszek przypominało (wybaczcie, ale nie znam się zbyt dobrze na anatomii znaków zapytania). Przez chwilę przypatrywałem się temu niecodziennemu zjawisku. A więc to tak. Ciekawe skąd się tu wziął? Czy wleciał przez okno, jak zwykle są to czynić różne owady? A może przez wentylację? A może po prostu przykleił się do mojego buta w któryś z wiosennych błotnych dni (obok trwała jeszcze budowa)? Mógł też wypaść komuś z nowo wprowadzających się przy przeprowadzce? No i tak w ogóle to chyba sporo urósł. Przynajmniej od czasu jak udawało mi się go gdzieś przez pół sekundy przelotnie widzieć. Nie namyślając się jednak wiele chwyciłem go mocno ręką, podniosłem do góry i zawołałem: "Mam cię!". Znak w pierwszym odruchu po przebudzeniu przeraził się, a następnie mocno ugryzł mnie w palec. Puściłem go wyjąc z bólu. Gdy się z niego otrząsałem, po znaku nie było już ani śladu. Darowałem sobie poszukiwania w środku nocy, dokończyłem sprawę w łazience, poszedłem spać.

Gdy się zbudziłem rano, opuchnięty palec stał się powodem mojego dobrego samopoczucia: te ostatnie miesiące to jednak nie urojenia. W mojej głowie powstał szybki plan: po powrocie z pracy, nawet gdybym miał wyrzucić na korytarz wszystkie rzeczy i meble, dorwę drania! Na wszelki wypadek wychodząc z domu z niedwuznacznym uśmiechem zamknąłem wszystkie okna i otwory wentylacyjne. A gdy wieczorem wchodziłem z powrotem, zrobiłem najpierw małą szparę w drzwiach, sprawdzając czy znak nie szykuje się do ucieczki. Pojawiła się smuga światła. Wszedłem do środka. Znak siedział na wersalce i czytał spokojnie książkę, obok stał kubek z gorącą herbatą. Może to złudzenie wywołane szokiem, ale na oko przybyło mu od zeszłej nocy jakieś pięć centymetrów. W pierwszym odruchu porwałem z blatu w kuchni ścierkę i zamachnąłem się na znak (może należałoby napisać "na znaka"? – nie wiem, niecodzienne sytuacje sprawiają mi zawsze kłopoty językowe). Znak jednak z błyskawicznym refleksem uczepił się końca ścierki i niesiony jej rozpędem wylądował we wnęce między szafą a sufitem.

– Masz natychmiast stamtąd zejść i szybko wytłumaczyć się ze swojej obecności w tym domu!! – krzyknąłem, ale moje słowa pozostały bez jakiegokolwiek odpowiedzi, nie licząc ledwo słyszalnego zaśmiechu dochodzącego z wyższej połowy mojego mieszkania (ale może mi się zdawało).

Tak, no i co z tego, że już wiem, że to coś istnieje skoro nie mogę nawiązać z tym czymś żadnego kontaktu? – myślałem. Chociaż z drugiej strony może to moja wina? Wczoraj wyrwałem go ze snu (być może przyduszając? – ostatecznie nie wiem nawet za co go chwyciłem, jak wspominałem nie znam się na anatomii znaków zapytania), dziś usiłowałem go zabić szmatą (tak mógł przecież to odebrać), a on może przecież nie rozumieć po polsku (znaki zapytania występują w wielu językach, ale nie wiadomo jakimi osobiście władają). No nic, na razie odpuszczę, zobaczymy, co się będzie działo dalej. Zjadłem kolację i poszedłem spać.

Rano przebudziłem się wcześniej niż zwykle zdenerwowany i napięty. Mój żołądek cyklicznie rozciągał się i kurczył. Gdy otworzyłem oczy zobaczyłem, że ni mniej ni więcej, ale po moim brzuchu skacze znak. Wykorzystywał mnie najwyraźniej jako rodzaj cyrkowej siatki do wykonywania akrobacji powietrznych. Wybijał się z uśmiechem wysoko a następnie niemal dziurawił mnie swoją nóżką i kropką (i znów miałem wrażenie, że przybyło mu na wadze od wczoraj). Zrzuciłem go brutalnie z kołdry. Ja rozumiem chęć nawiązania kontaktu, ale są chyba jakieś granice, zwłaszcza jeśli jest piąta nad ranem a nadchodzący dzień w pracy zapowiada się bardzo stresująco.

Sytuacja zaczynała mnie mocno denerwować, żeby nie powiedzieć dosadniej. Co gorsze z biegiem czasu znak czuł się w moim mieszkaniu coraz bardziej zdomowiony i coraz bardziej... bezczelny! Dochodziło na przykład do tego, że gdy spieszyłem się wieczorem na dworzec (kolejny nagły wyjazd służbowy), znak zaczął się przy drzwiach wyjściowych, i gdy wybiegałem z mieszkania, po prostu zahaczał mnie za nogę, powodując moje ciężkie lądowanie na korytarzu. Ja

już nie mówię tylko o potłuczonych. Raz nawet musiałem nawet zmienić garnitur, bo wylądowałem przed windą w mokrej kałuży po czyichs zakupach i przez to spóźniłem się na ważne biznesowe spotkanie w Warszawie. Punktem przełomowym jednak była organizowana przeze mnie kolacja dla grona znajomych i jednej nie do końca znajomej, na której mi bardzo zależało. Oczywiście sporo czasu zajęło mi przygotowanie: perfekcjonistyczne wysprzątanie całego mieszkania wymagające sporego wysiłku, zakup produktów do przyrządzenia wielu wymyślnych dań, wybór drogiego wina. W krytyczny dzień wieczorem po pracy zostało mi już tylko podgrzanie i poukładanie jedzenia na stole, wzięcie prysznic i ogolenie się.

To, co zobaczyłem jednak po powrocie do domu, po prostu mnie załamało. W huku głośnej muzyki (opakowania po kasetach i płytach wałały się wszędzie po podłodze), rozwalony na wersalce, leżał znak. Obok znajdowała się opróżniona butelka po winie, na stole leżały resztki przygotowanego jedzenia. Nie wiem czy zabawił się sam czy sprowadził do mieszkania pod moją nieobecność cały alfabet lub przynajmniej inne znaki interpunkcyjne. Nie było to w tym momencie istotne. Natomiast pewne było jedno: spałem się ze wstydu przed moimi gośćmi, o wywieraniu świetnego wrażenia na nie do końca znajomej można było zapomnieć (nie było już czasu na uzupełnienie zakupów i przygotowania, a kupienie czegoś zwykłego w osiedlowym sklepie według mnie absolutnie nie wchodziło w grę). W przypływie złości i buntu chwyciłem znak (znaka?) i wyrzuciłem przez okno. Był tak pijany, że nawet nie zdążył zareagować. Telefonicznie odwołałem kolację tłumacząc się niedyspozycją. Co się stało ze znakiem, tego nie wiem. Wiem natomiast, że był to ostatni dzień, w którym go widziałem.

Od tego czasu minęło już kilka lat. Dziś moje życie jest wreszcie stabilne. Nie spóźniam się na ważne spotkania biznesowe, niezmienną i spokojną sytuacją lokalową i cywilną pozwala mi być bardziej dyspozycyjnym a przez to cenionym w pracy. To oczywiście przekłada się na lepszą sytuację materialną a dzięki temu mogę robić wrażenie na gościach moich przyjęć coraz to droższym winem, którego nikt pod moją nieobecność mi nie wypija. Czasem tylko, gdy wszyscy już wyjdą, zastanawiam się: co wtedy znak chciał mi przekazać?